Rok III.

Nr. 41. Nr. 41.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 11 pazdziernika 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

TREŚĆ: Źle się bawicie. — Ratunku. — Helena. Powieść Turgenjewa. (Ciąg dalszy). — Trzéj najznakomitsi przedstawiciele angielskiéj powieści: Lord Lytton Bulwer, Karol Dickens, Thackeray, przez Leona Quesnel: III. William Thackeray. — Poufne listy o szyku poznańskim. — Wiadomości bieżące o rzeczach polskich. Skrzynka do listów. — Ogłoszenia.

Źle się bawicie.

Nigdy jeszcze z taką przykrością nie braliśmy pióra do ręki jak w chwili, gdy zaczynamy niniejszy artykuł Czujemy jednak konieczność choć pobieżnego dotknięcia wstrętnych dziennikarskich sporów we Lwowie, przynoszących już nie ujmę, ale hańbę polskiéj publicystyce.

Nie wkraczając bynajmniéj w granice wyidealizowanéj przesady, twierdzimy, iż dziennikarstwo jest niejako ambasadą publicznego interesu, obywatelskiéj zacności i moralnego kierunku społeczeństwa, — stróżem i kontrolerem rzeczy publicznéj, często inicjatorem a zawsze wytyczną postępu. Prawo zabierania każdéj chwili publicznego głosu, prawo roztrząsania i sądzenia wszelkich spraw, mających ogólne znaczenie, prawo interwencji w politycznêm i społecznêm życiu narodu, nadaje dziennikarstwu pewien rodzaj kapłańskiego stanowiska i obowiązki, które tylko nieposzlakowany charakter i czyste ręce sprawować mogą.

Jeżeli dzieje się gdziekolwiek wiele rzeczy które światła dziennego oglądać nie powinny, jeżeli opinja publiczna słabnie a publiczne stanowiska i wpływowe posterunki wyzyskują się na cele osobiste, to znaczna część winy spada na dziennikarstwo.

Zagnieździło się u nas mniemanie, że należy zawsze rozróżniać rzecz od osoby, moralność publiczną od prywatnéj. W teorji brzmi to wcale ładnie, ale pytamy, czy podobieństwem jest, aby za powodem osoby brudnéj a nawet moralnie wątpliwéj stała się jakakolwiek rzecz uczciwa i czysta? Czy da się pomyśleć, aby człowiek opętany przez szatana żył i działał po chrześcijańsku?

Nie i stokroć nie. Rozróżnianie takie nigdzie miejsca mieć nie może a przedewszystkiém w dziennikarstwie. Któż bowiem pójdzie za głosem prasy spodlonéj, kto uzna kontrolę ludzi, którzy sami pod kontrolą policji zostawać winni, kto przyjmie upomnienie od człowieka, którego się kupuje jak zużyte obuwie na tandecie, kogo naprowadzi na drogę wiary i cnoty libertyn kąpiący się cynicznie w kale rozlicznych występków?

Głos prasy nie jest ani wyrocznią, ani oderwaną formułką, ani dogmatem. Przez prasę przemawiają ludzie do ludzi, jeżeli zatém prasa ma być organem publicznéj opinji a dziennikarz kapłanem, to społeczeństwo musi mieć głębokie przekonanie, iż sprawy jego w czystych spoczywają rękach, że zasady głoszone przez to lub owo pismo są istotnęmi jego zasadami, nie zaś larwą maskaradową, ekwiwalentem stałéj lub jednorazowéj łapówki — że nakoniec przekonanie i sumienie redaktorskie nie zastosowuje się do normy honorarjum. Inaczéj nadużycia piętrzyć się będą na nadużyciach, dyrektorowie i rady nadzorcze banków, kolei i fabryk kraść będą akcjonarjuszy; mężowie zaufania marnować grosz publiczny a przedstawiciele narodu sprzedawać powierzony sobie in-

teres za koncesje na gründerstwa, za tytuły, ordery i płatne synekury.

Upadną naówczas wszelkie względy, podepcą zasady moralne, uorganizowana banda łotrów w biały dzień otworzy wielki bazar oszustwa i nadużyć a jeżeli zbytek podłości wywoła jakąś walkę to padną tylko słabsi, mniéj przebiegli i tym przypisze się winę, wielcy zaś mocarze zdzierstw i kradzieży zostaną nietknięci i w imię vis major daléj rzemiosło swe prowadzić będą.

Wierną ilustrację do powyższych słów naszych dają stosunki galicyjskie, jak się o tém z korespondencji i dzienników lwowskich każden łacno przekonać może. Co do nas, to nie mając najmniejszéj chęci grzebania w téj stercie gnijących łachmanów, nie poruszamy ani nazwisk osób, ani miana dzienników a piętnując tylko ohydę, zwracamy uwagę na toczącego raka dla przywiedzenia odstraszającego przykładu jaki los czeka społeczeństwo, w którém wykolejowana opinja publiczna pobłaża, a głos spodlonego waśniami dziennikarstwa żadném nie odbija się echem.

Wykrywanie i wykazywanie nadużyć w sądownictwie i administracji, zaniedbywania publicznych obowiązków, nadużywania mandatu i zaufania, wyzyskiwania stanowisk, oszustwa i wszelkich nieprawości, jakie sobie tylko pomyśleć można, było zawsze i wszędzie chlubném zadaniem dziennikarstwa. Wywiązywano się z niego częstokroć z pogardą własnego dobra i bezpieczeństwa, dobro bowiem i bezpieczeństwo publiczne stawiano wyżéj a odwagę cywilną uważano za cnotę.

Dziennikarstwo lwowskie poczuło się widocznie do obowiązku, bo oto w niedługim przeciągu czasu ujrzeliśmy kilka spraw bardzo brudnych i kilka równie brudnych osobistości stawionych pod pręgierz opinji publicznéj. Niektóre z tych spraw stanęły przed kratkami sądu i zostały potępione.

Cóż się jednak dzieje?

Skoro jeden dziennik występuje z oskarżeniem, drugi stawia obronę! Jesteś przekupiony, woła dziennik skarżący. Nie, odpowiada drugi, to potwarz — nie jestem zdolny do takich czynów, ale ty sam masz haniebną przeszłość i zamilkłbyś natychmiast gdybym ci zaczął wyliczać twoje sprawki. Ależ to oszczerstwo — woła znów pierwszy — groźbą chcesz mnie zmusić do milczenia, za które ci tak zapłacą, jak płacili za tyle innych usług. Bynajmniéj, na dowód że nie grożę lecz mówię prawdę, dowiodę ci, że jesteś oszust (sic) i złodziéj (sic). Skradłeś tam a tam zegarek, rewolwer i płaszcz, w inném miejscu odbiłeś szuflady i t. d.

Ciąg dalszy pomijamy, przytoczone bowiem dosłownie wyrazy starczą zupełnie na scharakteryzowanie wzajemnych stósunków lwowskiéj publicystyki, wpływu i szacunku jakiego używać może. Coś podobnego nie miało miejsca w historji dziennikarstwa. Żydowskie dziennikarstwo w Wiedniu jest przekupne i podłe nad wszelki wyraz, ale zachowuje przynajmniéj zewnętrzne pozory przyzwoitości. Paryzcy dziennikarze toczą zacięte walki, unoszą się na skrzydłach namiętności do podstępu i niesłychanéj zaciętości — wszelkie atoli zboczenia pióra przeciw czci i godności kolegi kończą się honorowo, ze szpadą w ręku w lasku bulońskim.

We Lwowie tylko, w lubym siedlisku Śgo Jura, Szomer-Izraela i „Towarzystwa demokratycznego" pełną dłonią rzucają sobie w oczy i publicznie haniebne obelgi, zarzucają kryminalne uczynki i idą do sądu.

Z czém jednak powrócą? Oto ze świadectwem, że opinją społeczności galicyjskiéj kierował oszust i złodziéj, lub też taki, co śmiał kolegę tém mianém publicznie traktować.

„Wart Pac pałaca, a pałac Paca."

RATUNKU! *)

W tych dniach do naszéj Redakcji weszła młoda, przyzwoicie ubrana panienka i gdyśmy ją prosili spocząć, pytając czego sobie życzy, tak rzekła:

— Przyszłam prosić was o pracę, o zajęcie. Jestem uboga i muszę sama sobie na chléb zarabiać. Pismo wasze tyle razy odzywało się i odzywa w imieniu płci mojéj, żąda rozszerzenia zakresu jéj pracy, że z całą śmiałością do was przychodzę. Mam chore oczy, wzrok krótki i szyć nie mogę — sądzę, że przy prowadzeniu ksiąg, ekspedycji lub czegoś podobnego, korzystnie dla was przydać się mogę, a co ważniejsza, sama znajdę pracę i zarobek.

Mówiła to gorączkowo, wpatrując się w nas z tém niemém a bolesném oczekiwaniem, co to zda się szeptać: „nie odmawiaj mi! nie łam ostatniéj méj nadziei! widzisz, jestem uboga, może głodna, choć tego nie pokazuję po sobie, chcę pracować, daj mi pracę, bo jutro na mnie czeka, straszne jutro, jutro rozpaczy... o! nie odmawiaj, bo jak odmówisz, ja nie wiem co zrobię, ale zrobię coś strasznego. Jestem młoda i ludzie i lustro mi mówi, żem niebrzydka..."

Niestety, nie mieliśmy w téj chwili żadnego dla niéj zajęcia, ale widząc przed sobą żywy wyraz kwestji nurtującéj obecne społeczeństwa, pragnęliśmy jéj coś dopomódz, poradzić, pocieszyć jako... Mówiliśmy jéj więc, żeby się udała do Spółki połączonéj pracy kobiét, żeby tam zażądała zajęcia. „Byłam tam, odrzekła, ale powiedziałam wam, że szyć nie mogę — a nic innego nie umiem — chciałam się uczyć jakiego rzemiosła, ale na to trzeba czasu i pewnych zasobów, bez których nim czegoś się nauczę, z głodu mi umrzeć przyjdzie."

Byliśmy do głębi wzruszeni. Ta młoda kobiéta to straszna klątwa, to miecz Damoklesa, to groźba wisząca nad dzisiejszém społeczeństwem. Czegóż ona chce? Pracy — nic, tylko pracy. Chce żyć, bo ma prawo do życia, jest młodą, zdrową, ma prawo do szczęścia jak

*) Ważny ten artykuł czerpiemy z warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego."

tyle innych — chce je sobie wreszcie sama stworzyć, bo nie posiada majątku, ale posiada zdrowie, siły i młodość — chce być niezależną, bo czuje się w tém olbrzymiém ludzkiém rojowisku osobnikiem, istotą samodzielną, niepodległą jak tysiące innych — słowem, chce żyć w pełni swych sił, chce ich używać na swoją i drugich korzyść — i nic nie żąda od społeczności, któréj jest cząstką, nic, tylko pracy, sposobności do niéj.

Ale społeczność ludzka powiada jéj na to: Jesteś kobiétą, a więc nic nie umiesz i umieć nie możesz, saméj o sobie stać ci nie wolno, powinnaś mieć męża lub majątek — ja ci pracy dać nie mogę, ledwie starczy mi jéj dla mężczyzn. Chcesz żyć, to prawda, masz do tego prawo jak każda istota, która się urodziła — więc żyj! Przepisy prawne i ustrój państwowy zabezpiecza ci to życie, nawet przeciwko tobie saméj. Chcesz być szczęśliwą? bardzo dobrze, nikt ci tego nie broni, ale ci nikt szczęścia nie da. Co się tyczy pracy, któréj odemnie żądasz, masz igłę i stan nauczycielki. Jak dla ciebie, to dosyć. — Ale ja szyć nie mogę, bo oczów nie mam, jestem nieszczęśliwą kaleką — ja uczyć nie mogę, bo mam małe wykształcenie, umysł słaby, nie rozwinięty.

— Ha! ja na to nic nie pomogę.

— Więc cóż ja mam robić?

— Nie wiem!...

— Nie wiem — oto ostatni wyraz społeczności ludzkiéj w obliczu tego widma posępnego, co się zowie kwestją kobiécą. Jakto? więc ta sama społeczność, która troska się o jéj życie, która go broni nawet przeciw niéj saméj, ta sama społeczność obojętna, śmie odpowiedzieć téj żebraczce pracy — idź odemnie, ja ci nie dam pracy, Dla ciebie nie ma miejsca przy olbrzymiéj pracowni ludzkiego dorobku. I ona odeszła — chciała się wziąść do ostatniéj pracy, chciała służyć, zamiatać, wynosić pomyje, drzewo nakoniec rąbać, bo żyć musiała...

Gdy atoli stanęła przed kimkolwiek z taką propozycją, obejrzano ją do koła, popatrzono na jéj ręce małe, drobne, białe, na jéj twarz ujmującą, na jéj sukienkę czystą, posłuchano jéj głosu, jéj sposobu wyrażania się i z uśmiechem politowania, z niedowierzaniem odprawiono ją z niczém. Wyszła na ulicę, spojrzała w około na wrzawę, gwar, ruch, stroje i uśmiechy i pomyślała sobie, że albo umrzeć musi, albo się sprzedać!

Straszna, potworna logika życia!

O! ratunku! ratunku! wołamy z głębi naszéj duszy. Czyż nie dość wam już tych ofiar, téj krwi waszéj serdecznéj, którą co dzień ciskacie w paszczę temu Molochowi co się prostytucją zowie? Tyle już o tém pisano, tyle pięknych książek na świat wydano o téj kwestji, tyle głosów co dzień się rozlega, a mimo to rzecz sama w praktyce ani na jotę jedną naprzód nie postąpiła. Trzeba koniecznie zużytkować ten potężny zastęp sił młodych, co ginie na marne w uściskach rozpusty, trzeba go ochronić, dać mu pracę, a on nas wzmocni w zamian, pokrzepi, podeprze nawet nieraz, bo w skład społeczny wejdą czynniki świéże, zdrowe, silne, które miasto go denerwować, jak to dotąd czynią, owszém żelazną hartu zbroją okryją.

Nakoniec, pominąwszy inne względy, ze stanowiska czysto ludzkiego tylko, wołamy jeszcze raz o ratunek. Niechaj społeczność jak drugi Chrystus poda dłoń ginącemu w rozhukanych falach socjalnego życia — niech mu zapewni kęs chleba na jutro. W obec dzisiejszego postępu, obudzenia się z letargu, rzecz to nietrudna i niewielka. Dość urządzić jakiś zakład, jakieś miejsce, w którémby każda żądająca pracy i zarobku, znaleźć go mogła natychmiast. Potrzeba aby kilka kobiét zacnych, serdecznych, a trzeźwo myślących stanęło jako pośredniczki między temi, co pracy potrzebują, a temi, co pracę dać mogą. Przecież istnieją instytucje wyszukujące wstydzących się żebrać, czyż nie może powstać instytucja pomocy dla chcących pracować. Nie, pracy nie braknie w społeczeństwie naszém, ale dróg do jéj wynalezienia — organizacji. Dawniéj kobiéta w takich razach tuliła się pod skrzydła klasztoru — dziś to niemożliwe, a nawet wszelka propaganda religijna, jaką się niektóre nasze stowarzyszenia i bractwa okrywają, przyniosłaby szkodę. Nie roztrząsania sumień i wrażeń, ale chleba i pracy dajcie.

Naturalnie, tego rodzaju instytucja musi objąć sobą jak najrozleglejszy zakres pracy, bo nie każda może szyć lub uczyć. Rzecz to konieczna, gwałtownie potrzebna, może najbardziéj nagląca. Już sama korzyść winna nas zmusić do chwycenia się tego środka, do podania ręki tym, co wołają: ratujcie, bo ginę!

Nie jest zadaniem pobieżnego dziennikarskiego artykułu nakreślać regulamin tego rodzaju instytucji. Dość, że wskazujemy ranę społeczną, dość, że żądamy dlań lekarstwa, a ludzie dobréj woli i pojmujący własny interes reszty dokonać winni.

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

I nie kończąc swéj przemowy Stachow szybko opuścił pokój trzasnąwszy za sobą drzwiami. Anna Wasilewna patrzała za odchodzącym. Do klubu? rzekła cicho z gorzkim uśmiechem, — nie do klubu ty jedziesz, lekkomyślny człowieku! W klubie nie ma nikogo, komuby się ofiarowało konie z własnéj stadniny — w dodatku siwe! Moja maść ulubiona! Nie, nie — dodała już głośniéj, — nie do klubu wy jedziecie! A ty, Pawle, wstydź się; nie jesteś już przecie dzieckiem. Widzisz, znów dostałam bólu głowy! Gdzież jest Zoe? Nie wiesz gdzie ona?

— Zdaje mi się, żem ją widział na górze; jest u siebie w pokoju. Chytry to lisek, umie się zawsze w każdą burzę schować do swéj nory.

— Pawle, zrób mi tę łaskę, nie gniewaj mnie już na przyszłość.

— Jakże mógłbym, ciociu? Pozwólcie mi ucałować waszą rączkę.

Anna Wasilewna wyszła szeleszcząc jedwabiami sukni.

Szubin chciał iść za nią, zatrzymał się jednak, usłyszawszy za sobą leniwy głos Uwara Iwanowicza:

— Z tobą... niedorostku... należałoby... inaczéj... się... obejść; wymówił z przerwami dymisjonowany praporszczyk.

Szubin podszedł do niego.

— Dla czegoż to i jak należałoby się ze mną obejść, szacowny Uwarze Iwanowiczu?

— Czemu? Jesteś młody, musisz być pokornym. Tak.

— W obec kogo?

— W obec kogo? To się samo przez się rozumie. Tak. Wyszczerzaj się teraz!

Szubin skrzyżował ręce.

— O! reprezentancie chórów tragedji, zawołał, ty płodzie czarnoziemu, węgielny kamieniu społecznéj budowy!

Uwar Iwanowicz puścił w bieg swe palce.

— Dość, mój chłopcze, daj pokój.

— To on, widzę go — ciągnął Szubin daléj — latami już niemłody to szlachcic, a ileż szczęśliwéj, dziecięcéj wiary chowa jeszcze w sobie! Baczność! Ale wiecież wy téż, pierwotny, jeszcze surowy człowieku, czemu mnie gniewa Mikołaj Artemjewicz? Cały dzisiejszy ranek spędziłem z nim razem u jego lubéj Niemki; wszyscy troje śpiewaliśmy „nie opuszczaj mnie“; trzebaż to było słyszeć!... Śpiewaliśmy i śpiewali bez końca, — wreszcie to mi się sprzykrzyło, widzę, że to nudne, że już nadto téj czułości. Rozpocząłem drażnić ich oboje. No, było téż co widzieć! Naprzód ona rozgniewała się na mnie, potém na niego; potém on rozgniewał się na nią i powiedział, że w domu tylko czuje się szczęśliwym, że dom jest mu rajem; ona odpowiedziała mu na to, że jest niemoralnym i do tego dodała tradycjonalne niemieckie „Ach!“ On odszedł; ja zostałem. Powrócił wreszcie do swego raju i nie czuje się w nim bynajmniéj szczęśliwym, dla tego to przed chwilą tak mruczał. A teraz, powiedz stanowczo, kto tu winien?

— Naturalnie, że ty, odparł Uwar Iwanowicz.

Szubin spojrzał na niego ostro.

— Wolnoż mi spytać, czcigodny rycerzu — wymówił z jakimś uniżonym w głosie odcieniem, — czy zagadkowe słowa, które raczyliście wymówić przed chwilą, były wynikiem jakiéjś kombinacji waszych władz myślenia, czy też tylko wyrazem chwilowéj potrzeby wzruszenia powietrza, wydania tak zwanego dźwięku?

— Daj mi pokój, wyjąkał Uwar Iwanowicz.

Szubin rozśmiał się i wybiegł.

— Héj, zawołał w kwadrans później Uwar Iwanowicz, przynieść mi.. kieliszek wódki.

Chłopiec przyniósł mu tackę z wódką i zakąską. Uwar Iwanowicz zwolna podniósł w górę kieliszek zatapiając w nim wzrok uważnie, jakby wątpił o tém, co trzymał w ręku. Potém popatrzał na chłopca i spytał czy mu nie jest przypadkiem na imię Wańka. Wreszcie twarz jego przybrała wyraz jakiegoś wielkiego zakłopotania, wypróżnił kieliszek wódki, zakąsił i wyjął chustkę z kieszeni. Chłopiec już dawno zabrał tackę, zjadł resztki śledzia i wyspał się gdzieś w kącie, a Uwar Iwanowicz ciągle jeszcze trzymał przed sobą chustkę i z równie natężoną uwagą poglądał to przez okno, to w ziemię, to po ścianach.

IX.

Szubin powrócił do swego pokoju i wziął do ręki książkę.. Wkrótce drzwi się otwarły i kamerdyner Mikołaja Artemjewicza wszedł ostrożnie; podał mu mały bilecik z wielką herbową pieczęcią. „Spodziewam się, te słowa zawierała karteczka, że jako człowiek honorowy, nie zechcesz wspomnieć choćby jedném słowem o pewnym wekslu, o którym dziś rano była mowa. Położenie moje i zasady są wam znane, niemniéj nic nieznacząca wysokość saméjże sumy i inne okoliczności; wreszcie, są rodzinne tajemnice, które należy uszanować a spokój rodziny jest świętością, któréj nie uznają chyba d e s é t r e s s a n s c o e u r, a do tych nie mam prawa was zaliczać. (Kartkę tę odeślijcie). M. S.“

Szubin ołówkiem u spodu dopisał te słowa: „Nie troszczcie się daremnie, jeszcze dotąd nie jestem rzezimieszkiem“, oddał kartkę kamerdynerowi i na nowo wziął się do książki. Wkrótce przecież wypadła mu ona z ręki. Popatrzał na niebo purpurowe, na dwie potężne sosny które stały zdala od drzew innych i myślał: „W świetle dziennem te sosny są błękitnawe, wieczorem tak cudnie zielone“, z tą uwagą udał się do ogrodu w nadziei spotkania tam Heleny. Nie omylił się. W niejakiéj odległości na ścieżce wśród krzaków zieleni dostrzegł jéj suknię. Przyspieszył kroku i przemówił:

— Nie zważajcie na mnie, jam tego nie wart.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, uśmiechnęła się lekko i szła daléj w głąb ogrodu. Szubin szedł za nią.

— Proszę abyście na mnie nie zważali a rozpoczynam z wami rozmowę: zupełna sprzeczność! być może, nie pierwsza. Przyszło mi na myśl, żem was nie przeprosił jeszcze, jak należy, za wczorajsze moje nierozsądne postąpienie. Przecież nie gniewacie się na mnie, Heleno Mikołajewno?

Stanęła i niezaraz mu odpowiedziała — nie dla tego aby się miała gniewać na niego, ale że myśli jéj były daleko.

— Nie, rzekła wreszcie, — ja się wcale na was nie gniewam.

Szubin zagryzł wargi.

— Cóż to za twarz obojętna a przytém pełna troski!.. szepnął. — Heleno Mikołajewno, dodał głośniéj, — pozwólcie abym wam opowiedział króciuchną powiastkę. Miałem dobrego przyjaciela, a przyjaciel ten miał przyjaciela. Ten ostatni prowadził pierwiastkowo życie, jakie każdy porządny człowiek prowadzić musi, późniéj przecież oddał się pijaństwu. Pewnego ranka spotkał go mój przyjaciel (zerwali oni, zważ to pani, znajomość swoją zupełnie) spotkał i dostrzegł, że był pijanym. Mój przyjaciel odwrócił się od niego natychmiast. Tamten przecież podszedł do niego i powiedział: „Nie byłoby mnie rozgniewało gdybyś był minął mnie bez powitania, ale czemuż odwracasz się odemnie. Może zmartwienie doprowadziło mnie do takiego upadku... Pokój mym popiołom!“

Szubin umilkł.

— I nic więcéj? spytała Helena.

— Nic więcéj.

— Nie rozumiem was. Do czegoż to zmierzało? Przed chwilą mówiliście abym na was nie zwracała uwagi.

— Tak, a teraz opowiedziałem wam, jak to boli, gdy się ktoś od nas odwróci.

— Czyż ja rzeczywiście... chciała spytać Helena.

— Więc nie bylibyście...

Lekki rumieniec przebiegł twarz Heleny, podała Szubinowi rękę. Uścisnął ją mocno.

— Sądzicie więc, że dostrzegliście we mnie złego popędu, rzekła Helena, — ale wasze podejrzenie jest bezpodstawne. Nie przyszło mi na myśl unikać was.

— Mniejsza o mnie! Przyznajcie przecież, że w téj chwili tysiące myśli przebiegało waszą głowę, myśli, z których ani jednéj nie zechcielibyście odkryć przedemną. Cóż? zgadłem?

— Być może.

— I czemuż to? czemu?

— Myśli moje dla mnie saméj są niejasne.

— Wtedy właśnie trzeba je innym powierzyć, wrzucił Szubin. — Ale ja wam powiem jaki jest tego powód: wy źle o mnie trzymacie.

— Ja?

— Tak, wy. Myślicie, że u mnie wszystko jest na poły komedją ... dla tego, żem artystą; że nietylko niezdolnym jestem do żadnego interesu, — w czém możecie mieć słuszność — ale i do żadnego głębszego uczucia; że nie umiem nawet szczerze, gorąco zapłakać, żem gaduła, plotkarz może... a wszystko dla tego, żem artystą. Czemże my nie jesteśmy, wedle tego co o nas mówią, my biedni artyści? Wy na przykład, mógłbym to przysiądz, nie wierzycie w mój żal.

— Nie, Pawle Jakowlewiczu, ja wierzę i w żal wasz i w wasze łzy. Zdaje mi się przecież, że i żal wasz i nawet łzy wasze są wam żartem, zabawką.

Szubin drgnął.

— Wierzę teraz, że to jest, co zowią lekarze c a s u s

incurabilis. Nic mi przeto nie pozostaje, jak schyliwszy głowę, znosić los mój daléj. I czyż istotnie na Boga! byłoby to prawdą, żem ja zawsze wyłącznie sobą zajęty, gdy tuż obok mnie żyje duch taki? I wiedzieć, że nigdy nie przeniknie się głębi téj duszy, że nigdy się nie dowie co ją martwi, co raduje, co się w niéj dzieje, czego ona pragnie, dokąd dąży... Powiedzcie, spytał po chwili milczenia, czy nigdy, za nic w świecie, czy w żadnym, żadnym razie nie pokochalibyście artysty?

Helena wpatrzyła się w niego.

— Nie sądzę, Pawle Jakowlewiczu.

— Trzeba to było poprzeć dowodami, mówił Szubin z komicznym wyrazem smutku. W skutek tego stósowniéj dla mnie będzie nie przerywać dłużéj waszéj samotnéj przechadzki. Jaki profesor spytałby was w tym razie na czém opieracie swe przeczenie? Cóż kiedy ja nie jestem profesorem, jam dzieckiem w waszém mniemaniu; ale od dzieci nie zwykło się odwracać, nie zapominajcie o tém. Żegnam was. Pokój mym popiołom!

Helena chciała go zatrzymać, ale namyśliła się i rzekła również:

— „Żegnam was.“

Szubin wyszedł z ogrodu na drogę. Niedaleko domu spotkał Bersenjewa; szedł przyspieszonym krokiem z głową na dół spuszczoną.

— Andrzeju Piotrowiczu! zawołał Szubin.

Tamten stanął.

— Idźże, idź, mówił Szubin daléj, — ja cię nie chcę zatrzymywać, idź prosto do ogrodu; spotkasz tam Helenę. Zdaje się, że ona czeka na ciebie.. w każdym razie czeka na kogoś... Czy ty pojmujesz moc tych słów: ona czeka! Ale wiesz bracie, rzecz dziwna! Pomyśl, mieszkam już dwa lata pod jednym z nią dachem, jestem w niéj zakochany, a dziś dopiéro po raz pierwszy nie powiem pojąłem, ale ją widziałem. Odchyliłem rąbek téj gęstéj zasłony, która kryje jéj ducha; widziałem — i stanąłem zdumiony. Proszę cię nie patrz na mnie z tym uśmiechem, co to chce uchodzić za zjadliwy; on nie przystaje do twych poważnych rysów. Rozumiem cię, chcesz mi przypomnieć Annuszkę? Cóż ztąd? Ja nie zaprzeczam temu bynajmniéj. Dla takich jak ja wystarczą Annuszki. Niechże więc żyją Annuszki, takie Zoe, a nawet takie Augustyny Chrystjanowny! Idźże ty teraz do Heleny, ja zaś... myślisz pewnie, że do Annuszki? Nie, bracie, niżéj nieco: do księcia Czykurasowa. Jest to mecenas z krwi kazańsko-tatarskiéj w tym rodzaju co Wołgin. Widzisz ten bilet zapraszający. Na wsi nawet nie dadzą mi pokoju. Addio!

Bersenjew słuchał téj przemowy Szubina w milczeniu, zmięszany nawet nieco, poczém wszedł w dziedziniec domu Stachowów. Szubin zaś rzeczywiście pojechał do księcia Czykurasow, któremu z pełnym uprzejmości uśmiechem jak najbardziéj gryzące bezczelności prawił w oczy. Tatarskiego pochodzenia mecenas aż trzymał się za brzuch kładąc się od śmiechu, goście mecenasa śmieli się z nim razem a przecież nikt nie był w wesołém usposobieniu i wszyscy wściekali się z gniewu powróciwszy do domu.

X.

Helena przyjęła Bersenjewa przyjaźnie, ale już nie w ogrodzie tylko w saloniku i zaraz podjęła, niecierpliwie niemal, wczorajszą rozmowę. Była sama. Mikołaj Artemjewicz oddalił się po cichu, Anna Wasilewna leżała na górze z zimnemi okładami na głowie, Zoe siedziała przy niéj. Uwar Iwanowicz wyciągał się na wygodnym miękkim dywanie w jednym z pokojów górnego piętra. Bersenjew wspomniał o swym ojcu, którego pamięć była mu świętą. Poświęćmyż i my mu słów kilka.

Ojciec Bersenjewa, posiadacz ośmdziesięciu dusz, którym przed śmiercią darował wolność, był illuminatem, niegdyś getyngskim studentem i wreszcie autorem pozostałego w manuskrypcie dzieła o zjednoczeniach czy téż przeobrażeniach się ducha w świecie, dzieła, w którém szellingjanizm, swedenborgizm i idee republikańskie mieszały się z sobą w najdziwaczniejszy sposób. Po śmierci żony przybył do Moskwy z synem, ówcześnie jeszcze młodym chłopcem i tu postanowił sam zająć się jego wychowaniem. Do swych lekcji, które w przyszłości miał udzielać synowi, przygotowywał on się już naprzód z niesłychaną sumiennością ale i zupełnie téż bezowocnie zarazem; był to marzyciel, mól książkowy, mistyk, jąkał się strasznie ilekroć przyszło mu coś powiedzieć a przytém głos tak tłumił mu się w gardle, że z trudnością można go było zrozumieć, do czego przyczyniał się bardziéj jeszcze zawikłany, przesadny i niejasny sposób wyrażania się, bezustanne używanie przenośni i trwożliwość, która nie opuszczała go wtedy nawet, gdy rozmawiał z namiętnie ukochanym synem. Nic więc dziwnego, że syn w czasie owych lekcji otwierał tylko szeroko oczy i usta a w nauce ani o włos daléj nie postępował. Stary (miał już wtedy przeszło lat pięćdziesiąt, późno bowiem się ożenił), spostrzegł wreszcie, że jakoś niedobrze idzie z nauką syna i zdecydował się swego ukochanego Andruszkę oddać na pensję. Rozpoczęła się więc nauka, ale i nadzór rodzicielski nie ustał. Ojciec odwiedzał jedynaka codziennie i nudził dyrektora zakładu swemi uwagami i rozmowami; nauczyciele nie więcéj byli radzi z tego nieproszonego gościa: przynosił im bezustannie jakieś przemądre, jak je nazywali, książki pedagogicznéj treści. Nawet uczniom nie był przyjemnym widok téj ponuréj, ospowatéj twarzy starego, téj chudéj, wywiędłéj postaci, wiekuiście ubranéj w frak o spiczastych, długich połach. Uczniowie nie przeczuwali nawet, że ten ponury, nigdy nie uśmiechający się człowiek, z chodem żórawim i długim nosem — całém sercem troskał się o każdego z nich, że każdego kochał jak własnego syna. Raz przyszło mu na myśl mówić z niemi o Waszyngtonie. „Młodzi wychowańcy!“ rozpoczął, ale przy pierwszych dźwiękach dziwnego jego głosu młodzi wychowańcy rozbiegli się na wszystkie strony. — Skoro młody Bersenjew wstąpił na uniwersytet, ojciec wraz z nim uczęszczał na prelekcje; ale już siły poczęły opuszczać starego. Wypadki 1848 roku wstrząsnęły nim do głębi (po tym roku byłby musiał całą swoją książkę na nowo przerobić) i umarł téż wkrótce bo zimą 1853 roku, nie doczekawszy nawet upragnionéj przez się chwili wyjścia syna z uniwersytetu. Ale naprzód już winszował mu godności kandydata, stojącéj przed nim otworem i udzielił mu swego błogosławieństwa na służbę wiedzy. Stanowię cię spadkobiercą światła, mówił na parę godzin przed zgonem, jam trzymał tę pochodnię dopókąd mogłem tylko, i ty jéj do końca z rąk nie wypuść.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Trzéj najznakomitsi przedstawiciele angielskiéj powieści:

Lord Lytton Bulwer — Charles Dickens — Thackeray

przez

Leona Quesnel.

III.

William Thackeray.

William Makepeace Thackeray na tém samém co Dickens odznaczał się polu — chociaż inny był jego kierunek. Razy, które wymierzał, padały na instytucje zastarzałe, na uprzedzenia, które już nie odrodzą się więcéj. Thackeray nie oddawał się wyłącznie jednéj tylko warstwie i myśli. Zdala przypatrywał się badawczo widowni świata i zwracał szczególną uwagę na pierwsze role, które fotografował z surowością całą lecz wiernie. We wszystkich jednak dziełach swoich — prawdziwych dziwach obserwacji — po za areną pozostał. Czytając czujemy, że stał po za kreacjami swojemi, a nie pośród nich; że posiadał ich tajemnice; że je niewidzialna dłoń jego porusza. Thackeray nie zaznał szczęścia bezchmurnego jak Bulwer, ani też upajającéj popularności Dickens'a, ale podobno pewniejsze jeszcze zabezpieczył sobie miejsce wśród falangi wielkich pisarzy Anglji. Sława jego wzrosła jeszcze po śmierci a dzieła coraz nowych doznają wydań i pojawiają się w ilustracjach wszelkich formatów.

Malarz obyczajowy, podobnie jak obadwaj jego współzawodnicy, więcéj pogodnym i wykwintniejszym od nich był humorystą. Thackeray poznał świat pod objawami mniéj korzystnemi jak Bulwer, i z mniéj bolesném od Dickens'a doświadczeniem. — Był on wnukiem duchownego, a synem oficera urzędującego w Indjach — który umarł r. 1816, mając lat 30, zostawiwszy młodą żonę i małego synka. We dwa lata późniéj przewieziono chłopczyka do Anglji, by tamże więcéj liberalne wychowanie odebrał. Podróż ta zostawiła w pamięci jego niezatarte wrażenie, jako też i miejsca, gdzie pierwsze dzieciństwa jego upłynęły lata. Okręt, który go do Europy poniósł, zatrzymał się na brzegach wyspy świętéj Heleny. Mały William widział Napoleona I. A sługa, murzyn, któremu go powierzono, opowiadał mu: że excesarz nie mogąc już armji całych na polu bitwy pochłaniać, zjada teraz w więzieniu swojém po dwa barany dziennie. — Gdy przybył do Anglji, odesłanym został zaraz do Cambridge, gdzie kolegami jego byli: Tennyson, Venobles, John Mitchell Kemble, John Sterling, Monkton, Miles — i cała ta młodzież, którą w Cambridge Towarzystwem Apostołów nazywano. Nie zespolił się jednakże z tém kółkiem wybrańców.

Jako przyszły zapowiedziany talent, Thackeray nieznośnym był uczniem: nigdy na żadną nie zasłużył nagrodę, a zamiłował jedynie ołówek, którym zawzięcie wszystkie marginesy swych książek ilustrował. Opuścił Cambridge nie osiągnąwszy naukowych stopni — i mając lat dwadzieścia rozpoczął życie w Londynie. Niezadługo potém zwiedził Niemcy i dwór w Wejmarze, który odmalował późniéj pod nazwą „Dwór w Pumpernickel. Następnie pojechał do Paryża, gdzie matka jego zamieszkała, drugie zawarłszy śluby. Po ojcu odziedziczył majątek, który mu materjalne zabezpieczył potrzeby — i ani przewidywał wtedy, że obserwacje, jakie nagromadzał, staną się materjałem do przyszłych prac jego i chléb mu zapewnią na starość. Bo spekulacja nieszczęśliwa — a nie życie marnotrawne, jak to podawano mylnie — popchnęła go w najzupełniejsze ubóstwo i został się był bez przyszłości i chléba. Chciał jako malarz pracować, ale był to lichy jedynie zarobek, bo zdolności jego pod tym względem mierności nie przechodziły. Pozostał tak długo, nie mogąc wynaleźć sobie zawodu, żyjąc jedynie z niewielkiéj pensji, którą mu matka wyznaczyła. Dopiéro w trzydziestym roku życia oddał się właściwemu powołaniu i pisać zaczął. Z początku pod anonymem do przeglądów różnych i dzienników, rozrzucając pojedynczo swoje prace literackie, znamienite pięknym stylem i siłą, bez wszelkiego dla siebie i sławy swojéj pożytku. Przez lat siedm umieszczał korespondencje w dzienniku „Times", podpisując je Manlius Penialinus i umieścił w „British and Foreign Review" artykuł o lordzie Brougham, który wielkie sprawił wrażenie. Wreszcie dla chleba powszedniego przyjął dyrekcję politycznego dziennika „Constitutional and public Ledger", który w Londynie wychodzić zaczął. Dziennik ten jednakże, chorując od samego założenia na suchoty, skonał po sześciu tygodniach. Poczém ofiarował mu Punch ważniejsze dla jego talentu zajęcie, z którego wywiązał się świetnie pod pseudonimem Michael Angelo Fitmarsh. Wśród tych różnych powodzeń dobiegł lat trzydziestu siedmiu; ożenił się — i przechodząc życia przeróżne koleje, rozwinął w sobie ową moc ducha, która tworzy wielkich autorów. Wreszcie pod własném nazwiskiem wydał romans „Vanity fair", który sam jako najlepsze z dzieł swoich osądził. Było to w r. 1847. Styl jego spotęgował się do téj doskonałości, która go podnioślejszym od Dickens'a czyni — i nasuwa porównanie wyższości, jaką ma rzeźbiarz w marmurze nad rzeźbiarzem wyłaniającym przedmioty z masy glinianéj. A jakkolwiek właśnie ta doskonałość mniéj go do ogółu publiczności zbliżyła — to natomiast krytyka wyrzekła, że w słowie jego jest potęga, która mu wrota nieśmiertelności otwiera, bo nie zatrze się nigdy.

Ostatnie lat piętnaście życia Williama Thackeray opromieniły go sławą, powodzeniem świetném i dały mu materjalny dostatek. Redagował dziennik „Punch" i „Cornhill Magazin." Jedno i drugie otworzyło mu pole do wyjawienia myśli swoich pod formami wszelkiemi i do zawiązania klienteli i przyjaźni z gronem pierwszych literatów, dla których zawsze szczeréj życzliwości i uczuć braterskich dowody składał. Był dobrym, jak wszyscy prawdziwą obdarzeni wielkością i wszystko w ręku jego stawało się pięknem i szlachetném.

W niewielu latach wydał „Vanity fair", „A novel withont a Hero" i „Pendennis" — w którym skreślił przejścia swoje szkolne i filozofję życia w najwyższych rozmiarach. Te wszystkie trzy prace są przedewszystkiém romansami obyczajowemi. Następnie przeszedł do romansu historycznego, a z takiém mistrzostwem, że Bulwera daleko po za sobą zostawił. „Esmond" n. p. jest z dzieł jego najwięcéj oryginalném i najdoskonalszém. Opisując nam pułkownika Esmond, oficera służbowego królowéj Anny, przenosi nas w świetną epokę historji Anglji. Jaśnieli w niéj wtedy Pope i Adisson — i zapewne z tego powodu epoka ta stała się dla niego tak szczegółowo jasną. Zdawałoby się, że sam żył za rządów Anny Stuart i Jerzego I, o tyle przejął się stosunkami i duchem tych czasów. Śmiało wyprowadził drogich mu przodków na scenę; a w towarzystwie „Esmonda" gawędzimy z dowcipnym „Dick'em Steele", wychylamy z „Adisson'em" wino burgundzkie, którém go mylord Halifax obdarzył; biegniemy za „Malborough'em", staczane przez niego podziwiając bitwy — i tak nas porywa jego wojskowa dzielność, że sympatyzujemy z nim jakby z bohaterem własnego kraju. Do strony uczuciowéj przymięszał autor intrygi stronnictw politycznych, odmalowane z wielką prawdą histo-

ryczną, miłość zaś oddał w formie epicznéj, tak zgodnéj z towarzystwem ludzi genjalnych i bohaterów. Romans kończy się nad brzegami Potomaku, gdzie pod drzewami palmowemi osiedla się ranami okryty Esmond. Ożenił się on z szlachetną lady Castleword i opowiada o swojém życiu kolonjalném w taki n. p. sposób: „Djamenty nasze zamieniliśmy na pługi, a perły oddaliśmy za Negrów, wesołych i szczęśliwych z nami. Jedyny klejnot przez żonę moją zachowany troskliwie, jest złoty kolczyk, który mi zabrała, odwiedzając w więzieniu i odtąd przy sercu nosiła, jak mi to wyznała następnie.“

Po romansie „Esmond“ ukazały się „The Virginians“, „The Newcomes“, „The Hoggarty Diamond“, „The adwentures of Philip.“ Dwa ostatnie są mniejszéj wartości, prócz świetnego stylu, który wszędzie Thackeray'a odznacza. Zbywa im szczególniéj — o wiele więcéj jak poprzednim — na poszanowaniu reguł, w kompozycji romansu zakreślonych. Zdaje się, że pewnym będąc wartości przedmiotu, uważa architekturę jako rzecz drugorzędną. Czytając romanse Thackeray'a nasuwa się myśl, że je tworzył bez planu poprzedniego i malował przedmioty w pamięci zachowane, albo takie, które przed jego snuły się oczami i przypadkowo w bujnéj fantazji uwięzły. Jako krytyk literacki z profesji, znał doskonale zwykłe pod tym względem reguły — ale je odrzucał a dane, które przyjąć wolał, zasłoniły go od zarzutów. „The Roundabont papers“, nieporównane szkice Paryża i Irlandji, „Snob's papers“, „The memories of master Yellowplush“, są wybrykami dowcipu pełnego satyry, które sobie drwinkują z wymysłów geometrycznych, literatury pretensjonalnéj. Potrzeba mu było jedynie otwartéj śluzy, by z niéj tryskał potok niewyczerpany wrzącéj jego werwy, bo on nie chciał być architektem który buduje — ale raczéj strumieniem który wciąż płynie.

Jeździł po Anglji, Szkocji, Stanach Zjednoczonych i miewał odczyty. Ci, co je słyszeli, przypominają sobie łagodną jego powagę i postawę imponującą przy siwych już włosach. W Ameryce przyjął go entuzjazm godny narodu, przesadzającego we wszystkiém.

Ulubionym dlań przedmiotem do opracowania były rządy czterech Jerzych — jako też i humoryści angielscy. Pisząc o nich czuł się w swoim żywiole. Wszyscy ludzie z dystynkcją umysłową opisywanéj epoki zdawali się należeć do liczby jego przyjaciół, z wielkiém też zadowoleniem zwykł był opowiadać: „Znałem z bliska panią, o któréj rękę starał się Horacy Walpole, a pieścił ją Jerzy I gdy dzieckiém była.“ — Coś podobnego przenosiło go w towarzystwo Johnson'a, Goldsmith'a, Steele'a, Pope'go — i czyniło szczęśliwym. — Opowiadał, jak gdyby temu był obecnym, o powołaniu na tron Jerzego II: „Goniec w wysokich masztalerskich butach kazał się wprowadzić do sypialni w Richmond-Lodge, gdzie pan domu właśnie zwykłéj używał s i e s t y. Ockniony nagle zaklął na posłańca i zapytał: „Któż to śmiał mnie obudzić?“ — „Sire, to ja, Robert Walpole“ — odpowiedział przybyły. Przebudzony znać nieprzyjemnego doznał wrażenia, bo zkądinąd nienawidził Roberta. — „Mam zasszczyt — mówił ten daléj — oznajmić waszéj królewskiéj mości, że najjaśniejszy ojciec waszéj królewskiéj mości w Osnaburg życie w przeszłą zakończył sobotę...“ — „That is a big lie!“ (To grube kłamstwo!) krzyknęła jego królewska mość Jerzy II. A jednakże była to prawda!“

Jerzy II miał odwagę, ale odwagę niedźwiedzia, odwagę fizyczną potężnego organizmu. Za jego rządów minister Robert Walpole, człowiek śmiały, rozwiozły a zręczny matacz, jedynie Anglję uratował — bo nią rządził wbrew woli króla, popierany wrodzonym taktem królowéj Karoliny. Dwór kaziło wówczas wielkie zepsucie obyczajów, a duchowieństwo — istne sykofanty — w miejscu usiłowań by demoralizacji tamę położyć, podsycało ją raczéj. I odtąd — twierdzi Thackeray — kraj ku średnim zwrócił się stanom, by tam szukać zbawienia.

Następnie dostarczył Jerzy III, ten król warjat, nader patetycznego przedmiotu do wykładu, który z wielką ścisłością opracował. Opowiedziawszy straszną chorobę i śmierć nieszczęśliwego monarchy, Thackeray zawołał: „Niechże żaden mówca nie zapuszcza się w moralizowanie téj nieszczęsnéj historji, bo potrzeba ją opowiedzieć jedynie w wyrazach prostych i bezwzględnych. Łzy zbyt słabą stałyby się ulgą dla serc bólem rozdartych — a na myśl samą o téj nędzy straszliwéj rzucam się do stóp Pana nad Pany! O moi bracia! (przemawiał w Ameryce) w obec téj żałoby przestańcie naszymi być wrogami! Dłonie nasze sprzęgły się przy tym trupie królewskim i broń złożyliśmy w pokorze! Został zepchniętym z tronu! Dotknęły go ręce zbyt srogie! Ujrzał przeciwko sobie własne dzieci zrewoltowane! Ostatni owoc jego miłości w naszych oczach zginął przedwcześnie — a nowy Lear, zawieszony u konających ust najdroższéj mu istoty, wołał z rozpaczą: Ach Kordeljo! Kordeljo! Zaczekaj na mnie!“

Widzimy, że Thackeray zalecał się świetną wymową, ale po nad wszystko lubował się w wykwintnéj analizie. Odczyty o humorystach angielskich szczególniéj przypadały do rodzaju jego taleutu. Pierwszym w téj serji był „Swift“, ów genjusz, który dzień urodzin swoich dniem żałoby mienił; mistrz ironji bolesnéj — który łzawo przez świat przechodził, jak gdyby złego ducha był własnością — i który tak umarł, jak lękał się umrzeć, o czém do Bolingbroke'a napisał: „Chciałbym w tém życiu jeszcze trochę zaznać spokoju, zanim do lepszego przejdę — a nie porzucić go z wściekłością szczura, którego w norze jego zatruto.“

Przechodząc z kolei do „Adisson'a“, „Concrèwe'go“, „Pope'a“, „Fiedling'a“ i biednego „Dick'a Steele“ — wątłego a tak tkliwego zarazem, — Thackeray wskrzesza jakby przeszłość całą, dla któréj żadne nie istnieją przepisy. Przytoczymy tu pod tym względem własne jego wyrazy: „Romans „Tom Johnes“ zbudowanym został z trwalszych kamieni niż Eskurial i pożyje dłużéj od Austrji dwugłowego orła.“

Thackeray dzierzy wybitne stanowisko w rzędzie wielkich swoich praojców, których stał się krytykiem i dziejopisem. I on posiadał ów święty płomień, tworzący moralistów i wielkich pisarzy. Nie rzuca wprawdzie błysków olśniewających, ale staje się światłem stałém i nie bledniejącém nigdy. Byłoby wielce mylném twierdzić, że on wyłącznie i jedynie był on satyrykiem tylko. Jest przedewszystkiém humorystą, bo i rozczula się łatwo. Zadaniem humorysty nie jest wyszukiwanie zdrożności ludzkich, by je ośmieszyć publicznie: dążenia jego są wyższe i szlachetniejsze. Prawdziwy humorysta ma duszę tkliwą, obdarzoną potęgą miłości i tworzy sytuacje osób wymarzonych, jakby to czynił dla żyjących. Śmiech V o l t a i r e'a nie jest humoryście właściwym, ale raczéj melancholja M o n t a i g n e'a. Bo i słusznie wyrzeczono: h u m o u r z serca płynie a nie z rozumu. Nie jest przyrodą ale miłością. Nie śmiech lecz uśmiech bywa podniosłym objawem myśli i uczuć pod formą prostą. H u m o u r najczystszym jest wypływem wrażliwéj natury, czułéj i głębokiéj. Pozbawiona h u m o u r'u społeczność zamieniłaby się w lód, pedantyzm rządziłby wszystkiém, a miłość bliźniego, uczucia życzliwe jednych dla drugich szukałyby jedynie formy plastycznéj. — Możnaby zastosować do Thackeray'a co Carlyle wyrzekł o Jean Paul'u: „Uśmiech służy mu do pokrycia melancholji głębokiéj i zbyt silnego uczucia litości, by je łzy same tylko wyrazić potrafiły. Jest on uczuciowym człowiekiem w najszlachetniejszém tego słowa znaczeniu — bo sercem brata ukochał wszystko co żyje. Dusza jego obejmuje stworzenie całe sympatją, radością,

bólem i dobrocią. Każde tkliwe wrażenie, każdy okrzyk trwogi, każdy objaw szlachetny znajduje echo w jego piersi — i odpowiada im spotęgowaną harmonją wielkiego ducha.

Dickens inwencją wyższym był od niego — lecz on przenikliwością wyższym od Dickens'a. Pióro stało się w ręku jego bronią sieczną. Wymierzył niém w granit staréj społeczności angielskiéj i potrafił go skruszyć i to właśnie trwałą wartość dziełom jego nadało. Malarze powierzchowni, zdolni zabawić na krótką chwilę jedynie, to płytsze tylko umysły. Gdy przeciwnie, dole radosne i cierpienia ludzkie mają prawo zajmowania nas zawsze. Thackeray'a ukochany Harry Fielding mógł mu jako wzór posłużyć, bo Fielding był przed nim najwięcéj subjektywnym ze wszystkich romanso-pisarzy angielskich. Ale uczeń o mało że nie prześcignął mistrza. Nadto ma Thackeray tę zasługę, że książkę jego można w każdą oddać rękę — bo przedstawiając ujemną stronę człowieka, nigdy zezwierzęconego nie dał nam obrazu.

Chcąc już dzisiaj dla Thackeray'a stanowcze w literaturze angielskiéj naznaczyć miejsce, byłoby przywłaszczeniem sobie praw do potomności należących. A jednakże Fielding, zdobywszy sobie quasi nieśmiertelność, nie miał tyle do niéj tytułów, co tamten. Rzadziéj bywa osięgniętą sława nieśmiertelna tém co się wypowiedziało, aniżeli sposobem, jakim to nastąpiło. Wreszcie, wszakżeż styl piękny — potęga słowa — przyrodzoną jest obsłoną wielkiéj myśli i jéj zewnętrznym okazem. Tylko wiedza jedna może obyć się bez stylu. Ale dusza ludzka z natury swojéj jest gramatykalną i powiedzieć o Thackeray'u że idee jego odlewami są z bronzu, byłoby tém samém, co wyrzec, że mają prawo niezaprzeczone przejścia do potomności.

Z Thackeray'em, Dickens'em i Bulwer'em kończy się chwilowo nowa serja wielkich romansopisarzy w Anglji i jeżeli są czasy niepłodności umysłowéj, tak jak bezpłodności ziemi, — to przypuszczać można, że po tak świetnych, obfitych i kwietnych plonach, łatwo bezkwiecie nastąpi. Im naród który więcéj humorystów posiada, tém bardziéj w humanitarność jego i głębię myśli uwierzyć można. Bo tchnienie ich ducha długo poczutém będzie w ciele społeczném, które ożywiali. Oni to w najpiękniejszych epokach intelektualnéj i politycznéj potęgi Anglji stawali się godnym jéj genjuszu wyrazem. W przeciągu niespełna lat trzydziestu żyli w niéj i działali: Richardson, Adisson, Steele, Prior, Gay, Swallet, Fielding, Sterne, Hood i Lamb. A teraz Bulwer, Dickens i Thackeray tę świetną zwiększyli plejadę. Nie mówimy tu o zdolnościach niższego rzędu. Niemcy, po Anglji, są także w humorystów bogate. Francuzi mają także kilku, którzy są tém dla literatury, czém sól dla ziemi. — U Francuzów humour jest raczéj ogólną właściwością mas a nie wyłączną własnością kilku wybranych. Przeczuwamy go niemal wszędzie, ale nie widzimy prawie. Uczeń na ławie szkólnéj, żołnierz w izbie swojéj, robotnik w pracowni, paryzki gamin na ulicy, — wszyscy mają właściwy im humour. Cały naród ma go po trosze — a na dowód tego kładę nieporównaną subtelność francuzkich karykaturzystów. — Bez głębszéj myśli i umysłowéj pozbawiony uprawy, humour staje się jedynie gorzkim korzeniem dzikiéj rośliny, zamienia się w ironję złe wywołującą, jest szyderstwem złośliwém — odznacza go brak poszanowania i względności. Zatém traci nawet i nazwę swoją, która przynależała nazwiskom: Montaigne'a, Pascal'a i Rabelais'go. Zresztą humour nie jest kwiatem, któryby wyrósł na pochyłości urwistéj, na wydmach rażonych wiatrem. Naród podległy ciągłym politycznym katuszom, może tylko niewielu zasłużonych wydać myślicieli — którzy dopiéro w chwilach wypoczynku i miłości stają się mądrości jego wyrazem, wytwornym i pełnym znaczenia.

Poufne listy o szyku poznańskim.

Poznań 5 października 1873 r.

I.

Kochany Redaktorze!

Doszedł mnie w téj chwili ostatni numer Tygodnika, a w nim Twój wstępny artykuł p. t. „Zimowe wieczory.“ W artykule tym rzuciłeś myśl zdrową urządzania wieczornych pogadanek, któreby tak treścią swą jak i formą wpływały na polepszenie wyobrażeń o prawdziwéj towarzyskiéj ogładzie, uczyniły jéj postulatem niezbędnym zajęcie się, obznajmienie z piśmiennictwem, podniosły skutkiem tego i rozwój piśmiennictwa i wartość umysłową salonowych lwiątek. W zasadzie zgadzam się na pomysł, powątpiewam jednak, czy pomysł ten przyjmie się tak prędko, czy w danym razie tak obfite przyniesie owoce, jakich się po nim spodziewasz. Byłoby przecież rzeczą bardzo dobrą, gdybyśmy już téj zimy słabe chociaż ujrzeli początki, gdybyśmy z pomocą tych wieczorów już nie do rozwoju piśmiennictwa, lecz przynajmniéj do zdrowych doszli wyobrażeń o dobrym tonie, ogładzie, o szyku. Wspomniałeś, kochany Redaktorze, w artykule Twym dosyć ogólnie, jak błędne o tém mamy pojęcia, — pozwól, że zarzut ten, uczyniony naszéj publiczności, szczegółowym usprawiedliwię rozbiorem. Może i dla ciebie szczegóły te będą nowiną; przybyłeś niedawno na poznański bruczek, nie znasz pewnie wszystkich zasad szyku, słuchaj więc, słuchaj z uwagą, gdyż zapewne niniejsze wskazówki niejednéj ci oszczędzą przykrości.

Zima się zbliża, z nią wieczory, herbaty, pogadanki. Znasz państwa B., poznałeś obojga na balu, złożyłeś im konieczną wizytę. Dochodziły mnie nawet posłuchy — o podobne nietrudno w Poznaniu — że wdzięki ich córeczki Teresy podziałały na Twoje serduszko. Daję Ci słowo honoru, że nigdy nie uwierzę tym plotkom. Państwo B. są to ludzie gościnni, dają w zimie gadające herbatki, na tańczące salon u nich za mały. Otrzymujesz zatém wkrótce bilecik z zaproszeniem na skromną herbatkę. Z uderzeniem ósméj godziny stajesz wyfrakowany, pachnący w przedsionku oświeconego salonu. Wita cię gospodarz uściśnieniem ręki, służący paletot zdejmuje. Wchodzisz, spostrzegasz gospodynią w końcu saloniku, wyprostowaną na nizkiéj kozetce obok staréj pani sędziny i podstarzałéj panny Kunegundy. Zbliżasz się, kłaniasz do ziemi, chcesz przemówić coś do pani domu i stajesz zmieszany, zdziwiony. Pani domu potrząsnęła główką, nie powstała z miejsca, nie przerwała rozmowy z sędziną.

„Cóż to znaczy?“ pytasz się, odchodząc, „czy pomyłka, czy umyślna niegrzeczność?“

Potwierdza cię w tém mniemaniu pan domu, który usiadł gdzieś w rogu kanapy i nie myśli się zbliżyć do Ciebie.

Wydobywasz skrycie bilet z kieszeni i znajdujesz wszystko w porządku, i adres Twój i zaproszenie na dzisiaj.

Zbliżasz się więc do panny Teresy. Panna Teresa prowadzi nadzwyczaj ożywioną rozmowę ze swą kuzynką Anielą. Śmieją się, trzepoczą języczkami o jakimś tajemniczym bukiecie co więdnie zapomniany na szafie. Rozmowa to nerwowa, przymuszona, obliczona na efekt

dla kilku wyfryzowanych młodzieńców, siedzących naokół stolika. Młodzieńcy nie istnieją dla dwóch panien; siedzą, spoglądają nibyto domyślnie, kraszą usta urzędowym uśmiechem. Nie istniejesz i Ty dla tych panien, stoisz i czekasz téj chwili, w któréj raczą spostrzedz Twą bytność. Czekasz kwadrans, chcesz już odejść w końcu, kiedy nagle panna Teresa obraca się ku Tobie półtwarzą. Kłaniasz się więc raz jeden i drugi, wreszcie jesteś widziany, poznany, spostrzegasz lekkie pochylenie główki, uśmieszek panny Anieli i pytające spojrzenia wyfryzowanych młodzieńców. Ale bytność Twa nie zmienia w niczém trybu rzeczy. Panienki daléj prowadzą sam na sam rozmowę, młodzieńcy poziewają ukradkiem. Nie znasz ich i nie wiesz co począć. Szczęściem zjawia się syn domu, prymaner, pytasz go o bieg nauk w gimnazjum, o karjerę jaką obrać zamyśla i każesz się wreszcie wyfryzowanym przedstawić młodzieńcom. Rozmowa z nimi czcza, ogółowa, o wystawie, parforsach i balach, jeden zaraz czyni Ci zwierzenie, że się nudzi, że chciałby dać nura, że kolacji coś długo nie dają. Przerzucasz się w końcu do panien i po kilku mniéj szczęśliwych próbach uczepiasz się panny Heleny, panienki niemłodéj, niéładnéj, lecz uprzejméj, swobodnéj, naturalnéj. Na miłéj pogadance czas Ci z nią szybko upływa. Po znaczącém poruszeniu w salonie domyślasz się, że kolacja na stole. Siadasz obok panny Teresy i zaczynasz ogólną rozmowę. Panna Teresa dziwnie roztargniona, odpowiada ledwo jedném słowem, nie kończy rozpoczętych perjodów, w środku zdania na inne przechodzi przedmioty. Jesteś bywalcem, drogi Redaktorze, zwiedziłeś kawał świata; panna Teresa pragnie przedewszystkiém dowiedzieć się o śladach komuny na podziwianych niegdyś pomnikach paryzkich. Rozpowiadasz jéj szeroko i długo o dzisiejszym stanie Tuillerji, lecz spostrzegasz z niemałém zdziwieniem, że oczy i uwaga panienki zwrócone na sufit, na obraz, na tort zajmujący środek stołu, na wszystko, lecz nie na Twój dyskurs. „C'est trop fort" myślisz sobie w duchu i zawieszasz rozmowę z panienką.

Po kolacji muzyka i śpiewy, słuchasz i chwalisz z urzędu, aż póki Cię zegarek sędziny od skrytych nie uwolni poziewań. Wychodzisz zmrożony, znudzony, z niezbitém prócz tego przekonaniem, że gdzieś, kiedyś zupełnie niechcący obraziłeś śmiertelnie gospodarzy. Jakiż bowiem mógłby być powód tylu rozmyślnych afrontów, któremi Cię tak suto na dzisiajszym darzono wieczorze?

Nazajutrz spotykasz na ulicy panią B. i pannę Teresę, kłaniasz się i odbierasz za grzeczność jakieś lekkie pochylenie dwóch nosków, które nową Ci się zdają urazą. „Ha!", pomyślisz, „jestem ofiarą pomyłki, mam przynajmniéj sumienie spokojne!"

Nie pomyłki ofiarą jesteś, Redaktorze, lecz ofiarą nowych zasad szyku. Zaraz Ci je, ile zdołam, wyjaśnię. Znasz zapewne, kochany Redaktorze, zachowaną gdzieniegdzie po Księstwie staropolską prawdziwie gościnność. Przyjeżdżasz do takiego dworu staréj daty, gospodarz pada Ci w objęcia, gospodyni przyjmuje przed domem, sadzają Cię natychmiast do stołu, musisz jeść i pić ile zdołasz, niechcąc słyszeć zaklinań gospodarza i wymówek urażonéj gospodyni. Od chwili w któréj przestąpisz próg domu nie jesteś już panem swéj woli. Pan domu obwozi Cię po polach, pani znowu na podwórze zaprasza, paniczowie na rumaka sadzają, panienki Ci towarzyszą w ogrodzie, do wytchnienia nie masz jednéj chwili. Przywiązujesz się serdecznie do gościnnéj strzechy, podziwiasz niezmordowaną uprzejmość, ale w końcu upadasz na siłach pod ciężarem względów gospodarskich. — Przeciw tym to pojęciom gościnności nastąpiła dziś u nas reakcja. Dziś zasadą w salonach szykownych dać gościowi zupełną swobodę, nie narzucać mu w niczém zabawy, niech się czuje zupełnie jak w domu, niech się bawi, niech czyni co zechce. Ztąd gospodarz a szczególniéj gospodyni nie chcą trudzić Cię natarczywą grzecznością, nie rozpoczną z Tobą żywszéj rozmowy, gdyż to znudzić Cię może, umęczyć, może chciałbyś rozmawiać z kim innym. Gospodyni siada w rogu kozetki, zbliż się do niéj, jeśli chcesz, i pogadaj; gospodarz chodzi z kąta do kąta i czeka, aż zaczepić go raczysz. Byłoby to niegrzecznością przy stole nawoływać do kieliszka, do półmisków. Jedz kiedyś głodny, nikt Ci nie zabrania, jeśli nie jesz, nie masz apetytu, nikt Cię przynaglać nie myśli.

Otóż widzisz, kochany Redaktorze, jak fałszywe wyniosłeś pojęcie o uprzejmych gospodarzach herbatki. Pan domu nie krępował Cię w niczém, pani domu nie była natrętną, mogłeś śpiewać, tańczyć, rozmawiać, jeść, ziewać… całkiém podług woli. Państwo B. uczynili więc wszystko, co zasady grzeczności dziś każą, jeżeliś nie poznał się na tém, Twoja jedynie w tém wina.

A panna Teresa? zapytasz. Rzecz z panną Teresą znów inna. Poznałeś zapewne w domach staropolskich, o których mówiłem przed chwilą, panieneczki starszéj jeszcze daty. Odznacza je przedewszystkiém otwartość. Powiedzą Ci bez żadnych omówień, że im się to podoba lub owo, że je cieszy ten wypadek lub inny, że są niezmiernie ciekawe widzieć jeden i drugi skraj świata. Jest w ich całém wzięciu otwartość naiwna, szczerość naturalna, które dawno wyszły już z mody. Dziś jest szykiem u każdéj panienki udowodnić wręcz całemu światu, jak jest małym i płaskim w jéj oczach, jak niewiele ma dla niéj powabu. Jest więc szykiem zadawać pytania i nie czekać, nie słuchać odpowiedzi, jest szykiem nie kończyć opowiadań, przechodzić w środku perjodu na całkiém odmienne przedmioty, jest szykiem nie zważać na osoby, nie znać, nie witać przechodzących lub na nizkie odpowiadać ukłony potrząśnięciem główki i przymknięciem oczu. Wszystko to jest dowodem wyższości, która gardzi światowym poziomem. Zaręczam Ci, kochany Redaktorze, że milutka panna Teresa widziała Cię stojącego przy krześle, że słuchała z natężoną uwagą opowiadań Twych o gruzach Paryża, że Ciebie nazajutrz na ulicy o sto kroków poznała wybornie, ale żądać nie możesz, Redaktorze, aby czyniąc dla Ciebie wyjątek, zapomniała pierwszych zasad szyku, okazała się w obec ludzi dziecinną, naiwną, słowem parafianką.

Otóż i mój arkusz na schyłku, a materjał w kilku punktach nietknięty. Trzeba więc tytuł poprawić i „list" przemienić na „listy." Za tydzień ciąg dalszy nadeślę. Tymczasem poleca się Twym względom

Twój
Plato, amicus.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— **Teatr polski w Poznaniu** wzmocniony nowemi siłami rozpoczął w dniu 8 b. m. kurs zimowy przedstawieniem „Halki" Moniuszki. Trzynaste to przedstawienie dzieła wielkiego narodowego maëstro zapełniło szczelnie cały gmach teatralny. Kilka uwag o tém przedstawieniu podamy razem ze sprawozdaniem z na-

stępnych wieczorów w najbliższym numerze naszego pisma.

* * *

— Panna **Eleonora Krassowska**, jedna z celniejszych uczennic prof. Mantiusa w Berlinie, o której osiedleniu się w mieście naszém już donosiliśmy, wystąpiła w dniu 7 b. m. na scenie niemieckiéj w roli cyganki Azuceny z opery Verdi'ego „Trubadur.“ Silny i w tak znakomitéj szkole wyrobiony mezzo-sopran p. Krassowskiéj, ujmująca postawa, swoboda i niezwykła u debiutantek pewność siebie, zjednały rodaczce naszéj ogólną sympatję licznie zgromadzonéj publiczności, która wyrażała jéj swoje uznanie wielokrotnie powtarzającemi się przeciągłemi oklaskami.

* * *

— **Zarząd Stowarzyszenia młodych kupców** zamierza utworzyć szkołę wieczorną handlową, w któréj w ciągu lat czterech młodzi ludzie zawodowi kupieckiemu się poświęcający mogliby się uzdolnić do umiejętnego zastępowania w interesach właścicieli handlów każdéj gałęzi a również do samoistnego wystąpienia w zawodzie kupieckim. Nie możemy jak tylko przyklasnąć temu zamiarowi, zwłaszcza, że brak szkoły handlowéj czuć się dawał dotkliwie w naszych stosunkach. Zanim jednak zamiar ten urzeczywistni się, pragnęlibyśmy, aby zarząd pomienionego Towarzystwa dobrze wprzód obliczył, ile urządzenie takiéj szkoły będzie kosztowało, daléj czy Towarzystwo na jéj utrzymanie będzie miało fundusz wystarczający. Tylko w takim razie, jeśli z obliczenia podobnego uzyska się odpowiedź pod każdym względem zadawalniającą, przystąpić należy do urządzenia i otworzenia rzeczonéj szkoły. Nie ma bowiem nic bardziej szkodliwego w naszych stosunkach, jak pomysły bez podstawy, jak poronione przedsięwzięcia. Dobrzeby więc było, aby zanim jakie przedsięwzięcie czy instytucja w życie wprowadzone będą, wprzód dobrze rozważone zostały podstawy materjalne ich istnienia i szanse ich powodzenia. Przekonani, iż Zarząd Towarzystwa młodych kupców, jako składający się z osobistości praktycznych, tą a nie inną drogą postępuje, podajemy tu zarysy téj szkoły, jakie na posiedzeniu Zarządu uchwalone zostały w téj myśli, że mogą ze strony kompetentnych wywołać uwagi, które w razie jéj przyjścia do skutku szkoły, na pożytek jéj tylko wyjść mogą.

Otóż, co do organizacji, szkoła ta pozostawać ma pod opieką kuratorjum, w skład którego wejdą: Zarząd Towarzystwa oraz uproszeni członkowie z grona kupieckiego i nauczycielskiego. Kuratorjum to przez swego delegata czuwać będzie nad postępem nauk, nadto kontrolować wykłady nauczycieli. Będzie przytém obecne przy egzaminach rocznych i ostatecznych i kładzie swój podpis na świadectwach z ukończonych nauk w szkole handlowéj.

Inspektora szkoły, który jest bezpośrednim zwierzchnikiem téjże i nauczycieli, powołuje i mianuje Zarząd Towarzystwa wraz z delegatem kuratorjum. Wewnętrzny ustrój szkoły ma być następujący:

Rok szkólny trwać ma 9 miesięcy. Dziesięć tygodni przeznaczone na ferje. Kursów ma być dwa, każdy dwuletni. Przyjęcie uczniów nastąpić może w każdym czasie, lecz nie inaczéj jak po złożeniu egzaminu wykazującego dostateczne ukształcenie i uzdolnienie do słuchania nauk w szkole wykładać się mających.

Po złożeniu ostatecznego egzaminu każdy uczeń okazawszy gruntowną znajomość nauk w szkole wykładanych, otrzyma świadectwo.

W szkole téj uczyć mają kaligrafji, języka polskiego, niemieckiego i francuzkiego, rachunków, prowadzenia ksiąg handlowych, korespondencji handlowéj, jeografji, historji z szczególném uwzględnieniem handlu, chemji i fizyki, ekonomji politycznéj prawa handlowego i wekslowego, wreszcie towaroznawstwa.

W rozkładzie nauk największą zwrócono uwagę na rachunki, bo na nie w ciągu całego kursu przeznaczają 216 godzin — daléj na języki polski i niemiecki, na które przeznaczają po 144 godzin. — Za niemi idzie chemja i fizyka, język francuzki i kaligrafja i t. d.

Otóż po krótce zarys programu rzeczonéj szkoły.

— **Wiadomości kościelnych**, nowego pisma dla stanu duchownego, wydawanego przez księży Podolskiego i Hołyńskiego wyszedł we Lwowie Nr. 1. Pismo to wychodzić będzie dwa razy na miesiąc i sądzimy, iż będzie pożyteczne, jeżeli wdawać się nie będzie w codzienne polityczne swary.

* * *

— W Londynie wyszedł Nr. 1 pisma politycznego „**Prawda**“, mającego wychodzic 2 razy na miesiąc pod redakcją Dr. L. Zborowskiego (2. Myddleton-square). Z pierwszego numeru trudno wydać sumienny sąd o piśmie tém, przeznaczoném głównie dla polskiéj emigracji.

* * *

— P. **Reman**, docent botaniki na wszechnicy Jagiellońskiéj, wysłany z wiosną b. r. przez komisję fizjograficzną Akademji umiejętności w Krakowie dla zbadania Podola galicyjskiego, wyjechał po skończeniu badań w lipcu r. b. z Podola przez Odessę do Poti i Tyflisu a ztamtąd w góry kaukazkie. Obecnie bada górę Kazbek, w pierwszych zaś dniach z. m. dotarł aż do lodowców Kazbeku. P. Reman ma zamiar pojechać przez Władykaukaz i Tyflis do Kachetji a pod koniec jesieni wrócić do Krakowa.

* * *

— **Schlossera** „Dziejów powszechnych“ wyszedł już zeszyt dwudziesty drugi.

* * *

— W tych dniach ukazało się w kandlu księgarskim dzieło **Hippeau'a** p. t. „Wychowanie publiczne w Stanach Zjednoczonych“, nakładem p. Ungra a w przekładzie p. Stanisława Bełzy. Tenże tłomacz przygotował już do druku drugie podobne dzieło Hippeau'a p. t. „Wychowanie publiczne w Anglji“, które wyjdzie pod koniec b. r. Obecnie zaś przystępuje p. B. do przekładu trzeciego dzieła o wychowaniu przez tegoż francuzkiego uczonego p. t. „Wychowanie publiczne w Niemczech.“ Praca ta obejmuje rzecz o ochronkach, o szkołach początkowych, realnych, o gimnazjach, uniwersytetach i szkołach specjalnych. Tym sposobem dzięki panu Bełzie będziemy mieli ułatwiony pogląd na trzy wielkie państwa przodujące innym w rozwoju ogólnéj oświaty.

* * *

— W Warszawie mają zamiar wydawać **Bibljotekę sławiańską** w siedmiu działach a 24 tomach. Wydawnictwo to ma objąć naukę języków i literatur wszystkich główniejszych szczepów sławiańskich, a mianowicie czeskiego, serbskiego, bułgarskiego, rosyjskiego, łużyckiego, staro-sławiańskiego i polskiego. Zupełne dotychczasowe zaniedbanie spraw sławiańskich w piśmiennictwie naszém i budzący się ruch w tym kierunku wraz z uznaniem jego potrzeby, powinienby zapewnić wspomnionemu wydawnictwu „Kroniki Rodzinnéj“ powodzenie.

* * *

— Wyszedł czwarty tom „Dziejów Anglji“ **Macaulaya** w przekładzie p. Adolfa Pepłowskiego. Opisane są w nim dzieje r. 1688: ucieczka króla Jakóba II, bezkrólewie i objęcie władzy przez Wilhelma. Nie potrzebujemy zalecać téj książki; sława Macaulaya jest nader rozpowszechniona, a co więcéj, najzupełniéj słuszna. Świetność opowiadania walczy tu o pierwszeństwo ze ścisłością dziejową. Tom każdy kosztuje kop. 70 (zł. 4 groszy 20). Tom IV zawiera stron 218.

Skrzynka do listów.

P. Drożyńskiemu z Wiednia: Przedpłata kwartalna wynosi 1 złr. 50 cent. czyli 1 tal.; panu Antoniemu dostarczymy naszego pisma, licząc przedpłatę od Nowego Roku 1874.

Kasjer, zawiadujący od lat wielu **kasą królewską** i **komunalną**, posiadający potrzebną kwalifikacją, co udowodnić może świadectwami i dobrą opinją, życzy sobie przyjąć miejsce **kasjera lesnego** lub **dominialnego** bądź w Wielkiém Ks. Poznańskiém, bądź w Królestwie Polskiém lub Galicji. Bliższych szczegółów dowiedzieć się można w mojém **Biurze Anonsów** i **Zleceń**, Poznań, Piekary, Nr. 18. (19)

J. K. Rakowski.

PROMYK.

Z dniem 1go października r. b. ulubione to pisemko dla dzieci, wychodzi na nowo, po zniżonéj cenie **20 sgr.** prenumeraty kwartalnéj, pod redakcją **Władysława Bełzy**. Skład główny na Księstwo Poznańskie w księgarni i antykwarni „Tygodnika Wielkopolskiego.“ (17)

Wielki Amerykański

Bazar fortepjanów
K. DMOCHOWSKIEGO

w Poznaniu, Wrocławska ulica Nr. 15

zaopatrzony w znaczną ilość **najprzedniejszych** instrumentów systemu ameryk. Krótkich, salonowych i koncertowych fortepjanów, eleganckich pianin o olbrzymich tonach, różnego rozmiaru, całych z żelaza i metalu, — poleca się łaskawym względom Szan. Publiczności. Za dobroć, trwałość i mistrzowskie wykończenie daje się 10-letnią gwarancją. Przyjmują się stare w zamian za nowe. Warunki kupna przystępne — **ceny niesłychanie nizkie.** Reparacje i strojenia przyjmują się i te z największą dokładnością i pospiechem uskuteczniają się. (6)

Ogłoszenia do **Tygodnika Wielkopolskiego** przyjmuje od dnia dzisiejszego moje **Biuro Anonsów i Zleceń** na Piekarach Nr. 18 na parterze. Poznań dnia 1 października 1873.

J. K. Rakowski.

Od dnia 1 października r. b. znajduje się biuro

Banku Włościańskiego

na **św. Marcinie Nr. 18/19** w domu pana doktora Koszutskiego na parterze.

Zwięzła Gramatyka Polska (18)

w wydaniu 5tém, któréj druk z powodu długoletniéj choroby i śmierci autora, **Henryka Sucheckiego**, przerwany został, wyszła obecnie całkowicie. Wykazuje ona błędy dzisiejszéj polszczyzny literackiéj. Cena 80 cent. czyli 16 sgr. — Mirosław Suchecki (w Zabierzowie koło Krakowa).

W biurze naszéj **Generalnéj Agentury Ubezpieczeń** otwartém jest miejsce dla **elewa.**

Rakowski & Szymanowski.

Fryderykowska ulica 22. (11)

Stancją dla gimnazjastów wskaże Biuro Anonsów i Zleceń J. K. Rakowskiego, Piekary 18. (9)

Dnia 15 paźdz. br. rozpoczynam w Hotelu Saskim o 7 godz. wieczorem dla Dam, o 8 dla Mężczyzn **naukę tańca** i od dzisiaj przyjmuję już zamówienia w poobiednich godzinach od 1—3. **Rochacki.** Wilhelmowska ul. 17, w podwórzu I piętro. (10)

Guwernantka egzaminowana, Polka, władająca dokładnie językiem francuzkim, posiadająca wyższą muzykę, przyjmie w **miejscu** zatrudnienie. Bliższych szczegółów udzieli moje **Biuro Anonsów i Zleceń**, Piekary Nr. 18. (13)

J. K. Rakowski.



Winogrona w ogrodzie i na składzie Wilhelmowska ulica Nr. 18 poleca

Szokalski,

(12) na Dolnéj Wildzie.

Piwowarnia Dominialna Czarnkowska

poleca wyborne

Piwo Czeskie,

wyrabiane przez jednego z najlepszych piwowarów Czeskich, który będąc kilkanaście lat dyrygentem najsławniejszych Wiedeńskich i Czeskich piwowarni, obeznany jest najdokładniéj z tamtejszym sposobem warzenia piwa. Piwo Czarnkowskie nie ustępuje w niczém piwom wyrabianym w Czechach, jest smaczne, czyste i zdrowe, z najlepszego jęczmienia i chmielu robione, bez wszelkich dodatków, które, jak liczne dowody stwierdzają, nadzwyczaj są dla zdrowia szkodliwe.

Zamówienia przyjmuje niżéj podpisany Zarząd.

Cena beczki w miejscu tal. 7, — 30 butelek tamże tal. 1.

Beczki, pudła z butelkami jako téż i butelki opatrzone są stemplem piwowarni, na co się uwagę Szan. Publiczności zwraca.

Czarnków w lutym 1873.

(16)

Zarząd Piwowarni Dominialnéj w Czarnkowie.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.